

Atena i piraci - powiastka filozoficzna

Autor tekstu: Jerzy Drewnowski

Dwanaście lat mija od tamtego trudnego dnia. Jego blaknące wspomnienie nabiera nagle barw, gdy buszując — z nadmiaru czasu — w moim laptopie natrafiam na dość szczegółowy zapis tamtych godzin. Na opowiastkę filozoficzną, której początkiem było moje ówczesne wypracowanie szkolne, uznane przez życzliwych starszych przyjaciół za godne rozwinięcia i publikacji. Czytam ją poruszony zgodnością z tym, co wówczas rzeczywiście myślałem i co rzeczywiście zawarłbym w owym wypracowaniu, gdyby szkolne zwyczaje pozwalały powiedzieć więcej. Dopinguje mnie do myślenia o tamtym dniu potrzeba zajęcia umysłu czymś innym niż wyglądanie przez okno w wielkim obcym mieście wytraconym z równowagi. Ale o tym — na końcu, na razie - sam ów dzień, albo raczej jego druga część.

*

„Mam wówczas” - dodaję dzisiaj — „szesnaście lat”, jest grudniowe sobotnie popołudnie w Polsce. W Radomiu, w naszym mieszkaniu dość daleko od centrum. W pokoju zapada półmrok. Ogień płonący w kominku rzuca smugę ciepłego światła na empirowe biurko. Ulubiony sprzęt mego dziadka, filologa klasycznego. Na biurku od lewej mosiężna lampa, rząd słowników po środku, figura zbrojnej Ateny w prawym rogu.

Zostałem w domu sam, rodzice-lekarze — w szpitalu na dyżurze, wrócą późno. Korzystając z niemal doskonałej ciszy, zabieram się do wypracowania na temat Europy. Jest, a właściwie dobiega końca, rok niezwykle- tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty dziewiąty. W moim liceum, chyba z tego powodu, piszemy coraz to nowe prace o jej cywilizacyjnym dorobku. Tym razem trzeba odpowiedzieć na pytanie o wkład Europejczyków do kultury światowej. Zwlekam z rozpoczęciem, bo temat jest trudny, może za trudny dla człowieka w moim wieku. W dodatku jestem przeziębiony, czuję rosnącą gorączkę, choć nie mogę tego stwierdzić obiektywnie, bo przed chwilą przez nieuwagę stłukłem termometr.

Jakby z prośbą o pomoc spoglądam na figurę Ateny, ulubionej bogini dziadka. Ja również darzę ją sympatią szczególną, chociaż jako symbol ateńskiego państwa mogła budzić podejrzenie, iż usprawiedliwia jego przemoc wobec innych ludów. Ale w rzeczywistości — w naszym przekonaniu — moim i dziadkowym - postać ze wszech miar szlachetna, nie darmo przez wielu postrzegana tak właśnie. Opiekunka mądrości, sztuk, nauk, pokojowych prac w rzemiośle i na roli! Reformatorka Areopagu, obrończyni ludu przed tyranią możnych! Patronka sprawiedliwego pokoju i uczciwej walki o dobrą sprawę! Nieprzejednana przeciwniczka swego brata Aresa, krwawego boga wojny i pożogi! Nasza Sowiooka, piękna i dzielna Atena!

Siedząc naprzeciw, uważniej przyglądam się figurze, która w migocącym blasku ognia zdaje się nabierać życia i patrzeć na mnie. W pewnym momencie mam wrażenie, że jej głowa lekkim ruchem wskazuje na okno. Śmieję się z mego złudzenia, lecz wstaję z fotela i papierową chusteczką przecieram zaparowane szyby. Na dole moja ulica, jedna z zapuszczonych radomskich ulic, dzisiaj dzięki białej powłoce świeżego śniegu — czysta i odświeżona.

Pod nieczynną latarnią majaczy ciemna sylwetka. Nieco zgarbiona, w zniszczonym płaszczu z kapturem. Zapewne znajomy sąsiad, jak zwykle pijany o tej porze. A może ktoś zupełnie inny, jakiś grecki cynicko-stoicki filozof, myślę żartem? Lecz w świetle rozumu — zwykły biedny naukowiec albo nauczyciel na rencie. Jak się wydaje, kompletnie sfiksowany. Trzymając się latarni prawą ręką, gestykuluje lewą i, z twarzą skierowaną ku mojemu oknu, przemawia głośno i strasznie poważnie jak z podręcznika starożytnej filozofii. O wspólnym dobru, powszechnym braterstwie, cnocie umiarkowania i panowaniu nad sobą. Nagle przerywa, jakby oświecony nową myślą lub skonfundowany. Lecz za chwilę, zatoczywszy ramieniem szeroki krąg, mówi dalej, nadal tak głośno, że słyszę doskonale.

Być może dzięki jego elokwencji, albo wskutek gorączki, zaczynam widzieć wszystko, o czym opowiada. Najpierw pod jasnym niebem i w pełnym słońcu świątynie na wzgórzach, z szeregami kolumn i malowanymi rzeźbami w tympanonach. Rolników schylonych przy pługach, biały lud na agorze i statki na morzu. Młodzież w gimnazjonach i filozofów z uczniami. Wszystko jak w opowieściach dziadka. Lecz zaraz potem — jakby dla kontrastu — znikają promienie słoneczne i zapada półmrok. Robi się bardzo głośno — zewsząd wrzawa, wołania i krzyki. Już teraz krzyki wielu ludzi. I szcęk oręża, wrzask komend wojskowych, jęki rannych i umierających w bitwie.

Pohukiwania zwycięzców na gromady jeńców. Rozkazy rzucone niewolnikom.

Za chwilę znowu bitwa, młody oficer wygłasza mowę. W prostej, cezariańskiej, łacinie zachęca żołnierzy do dzielności w boju. W imię domowych bogów i najświętszej świętości wielkiego imperium. I jednocześnie jakby pohukiwanie młotków przybijających ciała do drewna, także przy drogach wiodących do stolicy. I zewsząd — płacz bliskich, i jęk karanych za nieposłuszeństwo. Ale także, w tym samym czasie — ciche i uspokajające poskrzypywanie ryłców na tabliczkach, zapewne przy spisywaniu regulacji prawnych, wierszy miłosnych, pełnych szacunku dla człowieka rad filozofów. I zarazem odgłosy pracy na łódzie i ziemi, w portach, zakładach rzemieślniczych i na roli, jakby ktoś śpiewał: pax, pax, pax- pax od rana, do wieczora i w nocy — wszędzie, nareszcie, na zawsze.

Ale niedługo trwał ten spokój, bo już po chwili zaczynam słyszeć nowe głosy i odgłosy wojenne. Barbarzyńskie krzyki w przedziwnych językach, huk rozwalanych świątyń, grzmot kolumn padających na bruk ulicy. I przez dłuższy czas już tylko beczenie kóz na zburzonych imperialnych rynkach, porastających trawą coraz gęstszą, rozświerszczoną cykadami. Potem znowu odgłosy intensywnej pracy - nadzorców, robotników, niewolników budujących zamki, młyny, katedry, klasztory. Lecz zaraz znowu — strasznie nieprzyjemne dźwięki, jakby wołania torturowanych o litość i zmiłowanie. I zarazem potem, na pociechę, pieśni słodkie i odurzające jak kadzidło. Chwalące niewysłowioną moc dobra, miłości i współczucia wszystkich dla wszystkich.

Po kolejnej, tym razem dłuższej, przerwie — coś zupełnie innego: Szmer ożywionych rozmów i monologów tak eleganckich, pełnych swady i wyczelowanych, że wyobraziłem sobie jasny salon o wielkich oknach i gromadkę postaci w białych perukach przy okrągłym stole. Muzyka — jakby samego Mozarta — dała się słyszeć z sąsiedniego pomieszczenia, a w głównym salonie ktoś rozprawił — ostrożnie modulowanym głosem — i bardzo uczenie. O greckiej filantropii, rzymskiej humanitas i ciemnościach wieków minionych. A także o definitywnym nastaniu powszechnego światła i rozumu, niosącego wolność i braterstwo. Czy wspomniano równość, nie zdołałem usłyszeć, nagle bowiem zaczęły dolatywać z ulicy jakieś nieznanne mi huki i stukoty. Jakby taszczonej szaf bibliotecznych i okrągłych stołów. Coś na kształt rewolucyjnej barykady zdawało się rosnąć za oknem.

Wyteżywszy wzrok, dostrzegłem zarysy piętrzącej się zapory, tłumy ludzi po obu stronach, a na samym środku, na wysokim kiju - coś, co na pierwszy rzut oka zidentyfikowałem jako znak wojskowy o srebrzystym połysku. Po dokładniejszej obserwacji stwierdziłem jednak, że była to po prostu biała - lecz już mocno przybrudzona — peruka, jedna z tych, jakie mieli na głowach owi filozofowie, których jeszcze przed chwilą słuchałem w jasnym salonie. Jakby i ona miała swój udział w powstaniu całego tego zamieszania, na pewno krwawego w skutkach! Przypomniała mi się zaraz niedawna lekcja religii o racjonalnym humanizmie jako o przyczynie terroru, zepsucia moralności i rzezi. Niezdolny do przypomnienia sobie, co sam sądzę na ten temat, oddaliłem się od okna, dołożyłem dREW do ognia, siadłem w fotelu na wprost kominka. Muszę nieco odpocząć, skupić myśli, nadać temu, co widziałem, sens wyrazistszy.

Ale nie siedzę długo: nagle słyszę, jak wyje syrena fabryczna, a wysoka latarnia przed domem, chociaż od dawna zepsuta definitywnie, jarzy się dość jasnym światłem. Podrywam się z fotela i jeszcze raz podbiegam do okna. Prószy śnieg, lecz dzięki zapalanej latarni widoczność jest całkiem dobra. Z lewej strony, od dzielnicy fabryk - nadciąga powoli, jak kiedyś podobno, ogromny, niekończący się tłum. Robotnicy, faceci w garniturach, młode i starsze panie w garsonkach, policja i wojsko w mundurach. Z głuchym pogrzmotem nadciągającej burzy wchodzą do śródmieścia. Przysadzisty facet w średnim wieku, z szeroką brodą jak święty Piotr, idzie na samym przedzie, pod lewym ramieniem trzyma grubą księgę i pałeczką trzymaną w obu dłoniach bije w bęben. W przerwach między bębnieniem woła coś do wszystkich ludzi świata, a dalsze jego słowa zlewają się w jedno z coraz głośniejszym pomrukiem tłumy.

Co się dalej działo na ulicy, nie wiem, ponieważ na moment zamknąłem oczy. Zamknąłem je, by skupić uwagę - straciwszy rozeznanie, jakie miejsce i jaki czas oglądam przez okno. Przeszłość czy teraźniejszość, tu i teraz rzeczywiście w naszym mieście? W dodatku właśnie w tym momencie rozległo się dudnienie stóp na klatce schodowej, huk otwieranych gwałtownie drzwi w kilku mieszkaniach na raz i wołanie przerażonym głosem: lekarza, lekarza, gdzie jest lekarz! Pomyślałem o ojcu i matce — niedobrze, że nie ma ich w domu w tak niespokojnych chwilach, a poza tym przydaliby się nie tylko tutaj w kamienicy, ale i tam na dole. Na wypadek, że to, co słyszę i widzę, jest realne, energicznie zasuwam ciężką zasłonę w oknie. Jeśli wpadnie jakiś rzucony z tłumy kamień, mniej uczyni zniszczenia w pokoju. Lecz nagle wszystko ucicha i za drzwiami mieszkania, i na zewnątrz budynku.

Z bijącym sercem stoję przy biurku — z silnym postanowieniem niepodchodzenia do okna już

ani razu. Ciąg dalszy naszej przeszłości jest mi znany i bez tego zbyt dobrze. Siadam i zapisuję gorączkowo: krew, podbój innych kontynentów, ujarzmienie słabszych ludów, znowu krew, wyzysk, bezrobocie, opór i bunt i znowu krew, oszustwo, agresja; wojna pełna krwi; prowadzona — nierządkiem — pod hasłem wspierania potrzebujących, a także w imię cywilizacji i ludzkich wartości; a naprawdę dla chleba i mięsa, a zwłaszcza dla srebrzystych i czarnych diamentów, złocistego i czarnego złota, rynków zbytu i tak dalej. Jak w dawniejszej literaturze przedmiotu spoza szkolnego programu. I tu jeszcze przesywające mrozem wspomnienia z rodzinnych opowiadań, filmów i książek — ogromne pola baraków, tory kolejowe, lasek brzoźowy na horyzoncie i czarne dymy. Nie, nigdy więcej, dosyć myślenia o dziejach Europy!

Popatrzyłem na posązek Ateny i pomyślałem o niej jako o symbolu mądrości i chyba także filozofii. Może przynajmniej z niej, z filozofii, można być dumnym szczerze. Przynajmniej po części — z tej nieco dawniejszej i całkiem dawnej, zwłaszcza z tej „praktycznej”, nad którą pracuje dziadek. Z namysłu nad sprawiedliwym państwem i rozumną myślą techniczną, ale też z twardej logiki prawdy i fałszu. Z odróżniania między krzywdą a słusnością, z mierzenia wszystkiego wedle owoców jak w wypadku pomidorów i drzew figowych. Z pojęcia sprawiedliwości i z etyki współczucia, ale też z solidarnej walki o lepszy świat, który — jak czytam we francuskim Internecie — jest możliwy.

Zapisawszy nerwowym pismem także tę lub jej podobną myśl, patrzę znowu na posązek Ateny. W świetle z kominka jej głowa wykonuje pewien jakby ukośny ruch — potakujący, ale i przeczący zarazem — jakby chciała powiedzieć, że mam rację, lecz nie wyczerpałem sprawy. Ale cieszę się już z tego częściowego przytaknięcia, bo w końcu zostałem pochwalony przez nie byle kogo. Czuję się znacznie odprężony, a zarazem zmęczony, może z gorączki, a może dlatego, że w pokoju zrobiło się od płonącego ognia bardzo ciepło. Mam wrażenie, że na moment zasnąłem. Bo słów, które usłyszałem w następnej chwili, nie mógł przecież wypowiedzieć posązek Ateny: „Pomyśl jeszcze o przyszłości, a także o tym, co to znaczy, że bezbronność jest moralną wadą, i dlaczego, jak sądzisz, przysłałam na świat ze zbroją, z tarczą i z dzidą”.

Myślałem długo, aż rozboleła mnie głowa, która boli mnie nieczęsto. Czy słowa usłyszane we śnie miały w ogóle jakikolwiek sens? W końcu nie musiały go mieć, bo zasnąłem w domu, a nie w świątyni Asklepiosa dla hipnoterapii. Ale może, mimo wszystko? Trudno się w tej całej abstrakcji połapać, a pobłądzić łatwo. W końcu doszedłem do wniosku, że przyszłość mieszkańców Europy wbrew pesymistycznym nastrojom w moim kraju na pewno nie jest jeszcze przesądzona. W końcu mamy jeszcze kilka krajów w świecie, gdzie ekonomiczne i społeczne prawa człowieka nie stały się jeszcze przeżytkiem. Tak twierdzi się przynajmniej w niemieckim tygodniku, który abonują rodzice. Co zaś do zbroi, którą nosi Atena? Wiem wykrzyknąłem niespodziewanie dla siebie, jakbym odkrył archimedeeskie prawo hydrostatyki. Trzeba po prostu bronić tego wszelkiego dobra, które zostało wywalczone w przeszłości! Po prostu należy przekazywać przyszłym pokoleniom ideę, że każda kultura moralna winna być samoobronna, a lepszy świat — jak twierdzą attacowcy — był, jest i będzie możliwy. Prosta sprawa!

Zapewne i tym razem było to złudzenie wywołane migotaniem światła, padającego od kominkowego ognia, lecz miałem niemal pewność, że głowa Ateny wykonała znowu lekki ruch w kierunku okna. Coś mi mówiło w głębi ducha, że określenia 'prosty' i 'po prostu' nie przypadły jej do gustu. Poza tym czyniła wrażenie zaniepokojonej.

Stoczyłem ze sobą długą i ciężką walkę, zanim nie bez lęku — odwoławszy po-przednią decyzję — podszedłem do okiennej wnęki i rozsunałem zasłony. Moje zaskoczenie było ogromne: całą przestrzeń od domu aż po horyzont zajmuje woda. Czyżby Mleczna wystąpiła z brzegów i zalała Europę? Niezależnie od przyczyny znajduję się po środku wielkiego morza albo oceanu, a od Zachodu — a ważne jest chyba, że stamtąd — zbliża się ogromny statek. Po części staromodny, lecz w przeważającej mierze ogromnie nowoczesny i bez wątplenia o bardzo silnym napędzie. U dziobu — jak przed wiekami przy bogatych galeonach — wielka damska figura z drewna, jaskrawo wymalowana. Bardzo młoda niewiasta z nagimi piersiami, śliczna jak królewna z bajki, siedzi sobie jakby nieco załęknioma, lecz w gruncie rzeczy szczęśliwa, na karku młodego byka. Bez wielkiego trudu domyśliłem się jej i imienia, na pewno identycznego z nazwą statku płynącego od strony Niemiec i Francji.

Na pokładach górnym i dolnym pełno ludzi, tak różnych, jak różnią się od siebie ludzie na świecie. Jedni pracują jak zwariowani, szybko i sprawnie, lecz może już z myślą o wypoczynku. Inni, pod koronami owocowych drzewek w zielonych donicach, leżą do góry pępkami, wśród spadających z góry pieczonych kurczaków i wszelkiego jadła. Jeszcze inni, a jest ich również bardzo wielu, podskakują w rytm oszałamiającej muzyki. W pobliżu budki kapitańskiej — zażywni panowie przy

biurkach, poważni i skupieni, jakby przy pomocy cudownych maszynek produkowali albo liczyli pieniądze. Poza tym — w różnych wariantach — wszędzie to samo. Tylko od czasu do czasu wielkie ludowe święto: wszyscy w uroczystym nastroju, matki, ojcowie i dzieci, udają się na zakupy; albo już z nich wracają z wielkimi torbami pełnymi świecidełek i wymyślnych zabawek.

Ziewnąłem, nieco znudzony, i już chciałem odejść od okna, gdy spostrzegłem, że przygotowuje się znowu jakaś wielka uroczystość. Lecz tym razem, jak się zdaje, zupełnie inna, również ludowa, a przy tym oficjalna, gdyż bliżej okrętowego dzioba i steru. Coś w rodzaju dożynek, ale w nastroju zwycięstwa nad wrogiem, a także chyba radości na jeszcze większy dobrobyt. Bo w wielkiej procesji prześliczne dziewczęta i chłopcy niosą — oprócz niebieskich transparentów z hasłami o wspólnym domu — ogromne szczerozłote rogi obfitości. Pełno w nich bananów, soczystych winogron i maleńkich modeli najnowocześniejszych samochodów, a także chlebowych bochnów i ciastek z lukrem. Wszyscy udają się na przód okrętu ku wysokiemu posagowi na cokole. W jednym zgodnym pochodzie — cały lud, ludzie w każdym wieku i wszelkiej profesji. Wśród nich — także owi zażywni panowie, których widziałem przed chwilą przy biurkach, oderwani od liczenia, ubrani odświętnie. Jak na bardzo dawnym polskim plakacie — w białych kołnierzykach i cylindrach, z grubymi cygarami w ustach. Naprawdę uroczy panowie, mimo tych swoich brzuszaków i nieco podstarzałych twarzy! Dobrotliwie uśmiechnięci, jak dobrzy wujkowie z Ameryki, właśnie wręczają podchodzącym starcom i młodzieży, zwłaszcza cudzoziemskiej, ruloniki zielonych banknotów przewiązane gumką.

I dopiero teraz widzę, z prawdziwą ogromną radością, do jakiego to posągu zmierza ten cały radosny pochód. Toż to przecież nie co innego, tylko mój ukochany posąg Ateny w szyszaku, taki sam jak tutaj na biurku, tyle że bardzo duży! Najpierw symboliczne składanie darów na stopniach pobliskiego banku i przemowy polityków, sławiących zasługi swych partii. Potem muzyka i śpiew, zapewne na zakończenie dożynkowej procesji. Lecz nie! Zaczyna się część druga, równie uroczysta! Najbliżej z pochodu, w monterskich kombinezonach, przystawiają drabiny i wchodzą na posąg, z wielkimi śrubokrętami. Nie chcę wierzyć oczom, lecz widzę i słyszę wyraźnie: przy oklaskach tłumu demontują najpierw szyszak, potem dzidę i tarczę; ktoś wygłasza przemówienie o powszechnym samoczynnym dobrobycie, wiecznym społecznym spokoju i zgodzie wszystkich stanów.

Serce bije mi młotem, chociaż na statku wszystko się już toczy zwykłym torem. Wszystko po staremu. Ale niezupełnie, bo oto jedni ludzie tak dumni, piękni i promienni, jakby wygrali wielki los na loterii, inni — większość — o twarzach coraz bardziej zgorzkniałych i zaciętych. Poza tym, czego wcześniej nie dostrzegałem, jedni i drudzy podstawiają sobie nogi na wzajem i jeden drugiego gryzie w ucho. Gorączkowo szukam wzrokiem posągu Pallady, ponieważ nagle złe przeczucie przeszywa mnie lękiem. I rzeczywiście, gdy odnajduję jego miejsce, dostrzegam — sam cokół. Przecieram oczy, lecz posągu naprawdę nie ma. Za to tuż obok — ci sami, co przedtem, monterzy w kombinezonach. Z policjantami i grupką ochotników rozpakowują ciężkie skrzynie. Ukazują się wielkie metalowe elementy, powstaje nowy posąg, tak wielki, że dech zapiera.

Niebawem jest gotowy — ogromna naga istota w pozycji siedzącej, niby ludzka, ale wyraźnie nienormalna. O dwóch twarzach, czworgu ramion i czterech nogach, jak w „Biesiadzie” Platona. Dwaj młodzi mężczyźni, siedzący do siebie tyłem na tym samym kamieniu, jak bracia syjamscy zrosnięci plecami i głowami. Każdy z osobna znany mi dobrze, z niezliczonych książkowych reprodukcji. Jeden — to przecież nie kto inny, tylko bożek złodziei i kupców, z furkoczącymi skrzydełkami u stóp. Drugi, wyraźnie starszy, sam siebie przedstawia, bo w kuloodpornej kamizelce, z policyjną tarczą i innymi jej podobnymi atrybutami: z mieczem, rakieta, kanistrem napalmu.



Znienawidzony przez Palladę jej kłótniwy brat Ares, zawsze niesyty pożaru i mordu!

Ledwo budowę zakończono, zaraz przy dźwiękach wojskowej muzyki — uroczyste odsłanianie pomnika. Lecz pod czyim przewodnictwem? Tych miłych krępych panów z cygarami? Tak, to oni rzeczywiście. Stają pod pomnikiem na podwyższeniu, uśmiechają się filuternie. W powitalnym geście zdejmują cylindry i odrzucają precz. Wypluwają cygara. Zrywają jowialne brzuszki. Ściągają i rzucają za siebie uśmiechnięte twarze. Przez parę chwil stoją przed oniemiałym tłumem — inteligentni, jeszcze całkiem młodzi, o twarzach obojętnych i zimnych. Nagle — ale to znowu tylko żart i kpina — nakładają na lewe oko czarne opaski. Zdejmują je po chwili i są znowu bardzo serio. Wyznaczają przedstawiciela ludu. Każą mu mówić przez megafon.

Padają gromkie, twarde słowa o obowiązku konsumpcji, o walce z pasożytami i przymusowej nauce samodzielnego pływania jako o zadaniu najważniejszym. Jeszcze dobrze nie skończył, a już na stojącą obok beczkę po nafcie wskakuje uczony filozof. W garniturze, z krawatem, w błyszczących brązowych półbutach. Z wielką swadą popiera przedmówcę, grzmi przeciwko biedzie i socjalnej demoralizacji. Potem następny — dla oglądowej wyrazistości — z grubym pękiem wędek, do samodzielnego łowienia ryb.

Mimo że uroczystość jeszcze się nie zakończyła, zaczyna się realizacja programu. Osoby podejrzane o życie w biedzie lub ubóstwie podchodzą po kolei do funkcjonariusza w mundurze. Po otrzymaniu wędki na ryby, udają się ku szalupom i zjeżdżają w dół na wzburzone morze. Ale nie trwa to długo, bo zaraz wskakuje na beczkę inny filozof i w imieniu ludu protestuje przeciwko rozrzutności. I on również zostaje wysłuchany — odtąd biedacy nie dostają szalup, tylko same wędki. Kolejny mówca uważa także wędki za rozrzutność. Teraz już wszyscy nieudacznicy, bo od tej pory są określani już tylko tym mianem, młodzi, starzy i kaleki, spadają za burtę. Bulgotanie wody i krzyki tonących zagłusza hymn z megafonów. Radosna pieśń na cześć Hermes-Aresa Wszechwładnego, Jedyne Władcy Nieba i Ziemi.

Czując, że nogi mi drżą i uginają się pode mną, chwyciłem się oburącz parapetu. Kiedy po jakimś czasie, trudnym do określenia, stwierdziłem, że leżę na podłodze we wnęce okiennej, wstałem obolały i, nie od razu przypomniawszy sobie, o co mi chodzi, zacząłem płakać gorzko. W końcu otarłem łzy i, chociaż oczy mocno piekły, wróciłem do obserwacji wydarzeń na zewnątrz.

Od razu zauważyłem, że na obu pokładach coś się zmieniło w sposób istotny. I niewykluczone, że na lepsze, bo zupełnie bez powodu poczułem w piersiach lekką ulgę. Moją uwagę zwróciło kilka postaci bardzo zwykłych, lecz zachowujących się tak normalnie i ubranych tak niepozornie, że chyba miały coś do ukrycia. W dodatku przemykały nieco chyłkiem i dzierżyły pod pachami jak gdyby nigdy nic ciemnoszare zawiniątka. Serce zabiło mi mocniej i gwałtownie zaczerpnąłem powietrza, gdy pojąłem, co jest w środku. Owinięte w burą materię — szczątki rozbitego posągu Pallady! A także fragmenty zbroi! Nie ulegało wątpliwości: znaleźli się ludzie, którzy chcą posąg Sowiookiej scalić i odbudować w pierwotnej postaci. Z tarczą, dzidą i szyszakiem!

Ale to nie wszystko. W kilku miejscach nie uszła mej uwagi innego rodzaju krzątania. Coś jakby ciche i pracowite przygotowania do ulicznych demonstracji. Gdzie tylko na pokładzie zrobiło się wolne miejsce od zabawy, bijatyk, pracy i tanecznych podskoków, zaraz zbierała się młodzież i starsi z wielkimi plecakami na ramionach. I rzeczywiście, niebawem jak spod ziemi wystrzeliły kolorowe transparenty z wielkimi napisami. O głodzie, handlu zdrowiem, zabijaniu świata. Ale najczęściej powtarzało się hasło, że świat nie należy do Hermes-Aresa. Zaraz też wyskoczyły ponad głowy tłumy karykatury podwójnego bóstwa. Niesione na długich tyczkach, wykonane z jakiejś lekkiej masy, chyba papierowej. Przeróżające i ohydne — całe skąpane w krwi i żółci, poowijane w imitację ludzkich kiszek i innych wnętrzności. Popatrzyłem na twarze demonstrujących: były spokojne i mimo wyrazu zdecydowania — łagodne.

Jak łatwo zgadnąć, spokój nie trwał długo. Nagle pojawiają się policjanci i żołnierze, pod osłoną wielkich przezroczystych tarcz. Odwracam się tyłem, bo wiem, co nastąpi. Kiedy tumult ustaje i znowu odważam się patrzeć, wybuchają kolejne protesty, jednocześnie w wielu miejscach. Twarze młode obok starych, ludzie różnych zawodów i kolorów skóry trzymający się za ręce. Mówcy z braku trybun — jedni na ramionach drugich. Mówią jasno, dobitnie, zrozumiale. Między innymi — o niezliczonych możliwych sprzymierzeniach na statkach i okrętach całego świata. Wszystkie sylwetki w tłumie nieco pochylone pod ciężarem plecaków. Właściciele co pewien czas sięgają do nich, wydobywają coś ze środka i wręczają sąsiadom. Wyteżam wzrok i widzę, że jest to zwykła, zawinięta w śniadaniowy papier, kanapka z serem. Z białym serem jak ten, od którego kruki i wrony stają się mądre.

Potem znowu wojsko i policja, tumult, wrzawa, krzyki. I chyba dla odwrócenia uwagi świąteczna muzyka. 'Cicha noc, święta noc' rozlega się z megafonów, tak głośno, że można

zwariować. Zastanawiam się, jak długo protestujący wytrzymają to wszystko, i żal mi ich ogromnie. Tym bardziej, że w wielkiej ludzkiej masie rozpoznaję twarze dawniejszych demonstrantów, których już zdążyłem polubić. Niektórzy, oczywiście, posiniaczeni, pokrwawieni lub mokrzy, ze zmierzwionym włosiem. Ale — rzecz osobliwa — prawie wszyscy oddychają tak spokojnie i oszczędnie, jak rzadko który człowiek. Głęboko, powoli, możliwie długo zatrzymując powietrze w płucach. Jakby miało im starczyć na całe życie. W pewnym momencie, gdy tak patrzę na nich zadziwiony, przypominam sobie napis na jednym z transparentów. 'Choćby do końca świata albo jeszcze dłużej!'

Ogarnia mnie radość, może wskutek gorączki i przeżyć nadmierna i nieuzasadniona. I rzeczywiście chyba przedwczesna. Bo oto z jednego z otwartych okien pobliskiego Instytutu Wolności i Demokracji wypada uniesiona porywem wiatru i krąży dość długo nad ulicą, by wylądować w końcu na zewnętrznym parapecie naszego okna, zadrukowana kartka. „Zalecenia w sprawie kontroli wszelkich plecaków i kanapek z białym serem w aspekcie możliwych...” Chcąc widzieć lepiej, wykonuję szybki ruch do przodu i z całej siły uderzam czołem w okienną szybę. Z dotkliwego bólu zaciskam zęby i zamykam oczy. Kiedy je otwieram i wyglądam na zewnątrz, nie dostrzegam ani ludzi, ani wielkiego statku z podobizną pięknej Europy u dziobu, ani w ogóle niczego z poprzednio widzianych rzeczy. Tylko swoją, przysypaną świeżym śniegiem, radomską ulicę w półmroku. Z kulawym psem z sąsiedztwa i znajomym pijakiem, który jak zwykle o tej porze sika pod latarnią.

Wiem, że nie zobaczę już niczego. Dokładam dREW do kominka, zapalam dziadkową lampę na biurku. Mimo ogromnego emocjonalnego wyczerpania siadam przy nim i zaczynam łączyć moje notatki w całość — w zadane mi wypracowanie na temat Europy i świata. Zmęczenie, nie pozwala mi wymyślić żadnej zgrabnej tezy naczelnej. Jedynie tę, że o prawdziwej kulturze i cywilizacji świadczy najlepiej i najdobitniej sposób traktowania najsłabszych. Piszę to, chociaż się obawiam, że moja 'pani od polskiego', osoba — jak mówią — dobrze czująca wiejące wiatry, uzna to moje twierdzenie za niewłaściwe i nieprzyzwoite; a w każdym razie za śmieszne, banalne i przestarzałe, jak poglądy mego dziadka, który nie zna świata. Nie zdobywam się na wyprzedającą polemikę z takim stanowiskiem.

Na dobitkę nie mam już siły na formułowanie abstrakcyjnych myśli z wyjątkiem tych, które wpadły mi do głowy kiedyś dawno temu. Próbuje je sobie odtworzyć, a poza tym ograniczam się do opisanego tego, co widziałem za oknem. I przyznaję w wypracowaniu otwarcie, że - na ile potrafię to ocenić bez termometru — piszę w gorączce już dość wysokiej i proszę o wybaczenie błędów gramatycznych. Przyznaję także, że ani nie wiem, ani nie potrafię zgadnąć, co zdarzyło się później. I dodaję na zakończenie, że sam chętnie bym się dowiedział, czy Hermes-Aresa zrzucano z cokołu i czy ponownie ustawiono na nim — w szyszaku, z tarczą i z dzidą — Atenę. „Naszą wiecznie młodzieńczą patronkę mądrości i walki o dobrą sprawę”.

Napisawszy te końcowe wzniosłe i odważne słowa, zamykam zeszyt, siadam na fotelu. Ostatni raz spoglądam na posążek na biurku — uśmiechamy się do siebie jak starzy przyjaciele, obydwójce obolali i strasznie zmęczeni. Już przez sen słyszę wracających do domu rodziców i czuję, jak ojciec — zauważywszy, w jak mizernej jestem kondycji - bierze mnie na ręce i zanoszą do łóżka. Jak w podobnej sytuacji przed kilku laty, kiedy byłem znacznie mniejszy, mniej poważny i przez to zapewne — znacznie lżejszy.

**

Po prawie dwunastu latach rzecz się niejako powtarza. Znowu z biciem serca stoję przed oknem, tym razem przed oknem mojego hotelu w Kairze. W lutym dwa tysiące jedenastego roku. Podchodzę do okna i odchodzę. Nie chcąc opuszczać budynku, czytam na ekranie laptopa, przemyśliwam i analizuję odnaleziony tekst. Ale dlaczego właśnie teraz, tutaj nad Nilem, tak daleko od rodzinnego domu? Nie tylko chyba przez przymusową bezczynność od dość wielu dni, oczywiście, także przez ten widok pobudzonych tłumów tam na dole na ulicy. I na pewno również przez mój ówczesny młodzieńczo-dziecinny patos, odziedziczony może po ośmiu pokoleniach ludzi rozmawiających na takie najtrudniejsze tematy. Lecz nie jest ważne, czy był odziedziczony, wyczytany czy całkiem własny. Rzecz najważniejsza - to mój obecny, skądkolwiek się bierze, strach o tych ludzi za oknem, że nie jest chyba bezpodstawny.

Zbyt wiele się nam sprawdza od ośmiu pokoleń. Co robić, co myśleć? Nie malować obrazów przeszłości, nie badać jutra przez okno? Ani teoria, ani brak teorii nie pomogą tym razem. Co będzie z tamtymi za oknem, o to chodzi wyłącznie, albo przynajmniej przede wszystkim. Mieszają się myśli, czuję że mam gorączkę, rośnie upokorzenie, chce mi się płakać. Ktoś puka do pokoju...

5 lutego 2011

Jerzy Drewnowski

Ur.1941, historyk nauki i filozof, były pracownik PAN, Akademii Lessinga i Uniwersytetu Technicznego w Cottbus, kilkakrotny stypendysta Deutsche Forschungsgemeinschaft i Biblioteki Księcia Augusta w Wolfenbüttel. Współzałożyciel Uniwersytetu Europejskiego Viadrina we Frankfurcie nad Odrą. Pracował przez wiele lat, w Polsce i w Niemczech, nad edycją „Dzieł Wszystkich” Mikołaja Kopernika. Kopernikowi, jako uczonemu czynnemu politycznie, poświęcił pracę doktorską. W pracy habilitacyjnej zajął się moralną i społeczną samoświadomością uczonych polskich XIV i XV wieku. Od 1989 r. mieszka w Niemczech, wiele czasu spędzając w Polsce - w Jedlni Letnisku koło Radomia, gdzie wraz ze Stanisławem Matułą stworzył nieformalne miejsce spotkań ludzi duchowo niezależnych z kraju i zagranicy. Swoją obecną refleksję filozoficzną zalicza do „europejskiej filozofii wyzwolenia”. Nadaje jej formę esejów, wierszy i powiastek filozoficznych.



[Strona www autora](#)

[Pokaż inne teksty autora](#)

(Publikacja: 12-02-2011)

[Oryginał.](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,918) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,918>)

Contents Copyright © 2000-2011 Mariusz Agnosiewicz
Programming Copyright © 2001-2011 Michał Przech

Autorem portalu Racjonalista.pl jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.
Właścicielami portalu są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tego portalu i jakiegokolwiek jego części.

Wszystkie strony tego portalu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tego portalu oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tego portalu i nie korzystać z jego zasobów.

Informacje zawarte na tym portalu przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów portalu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na portalu. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki prezentuje.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych
Racjonalista.pl

portalu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do redakcja@racjonalista.pl